

Kornel Makuszyński *Szaleństwa Panny Ewy* fragment

Z przedpokoju słychać było dwa splątane głosy: jeden cienki jak jedwabna nitka i drugi gruby jak lina okrętowa. Jeden był śpiewaniem słowika, drugi głuchym pomrukiem rozsrożonego wulkanu. Potem drzwi otwały się gwałtownie i obłąkanym pędem wpadł przez nie pies. Nie, to zbyt wiele powiedziane! To nie był pies... Można było za Słowackim i Odyńcem zakrzyknąć w zdumieniu: „Czy to pies, czy to bies!”. Był to przedziwny stwór przyrody, której coś musiało uderzyć na rozum w chwili stwarzania tej kreatury. Miał on cztery krótkie, krzywe łapy i haniebnie kosmaty ogon, z czego można było sądzić, że to jednak pies. Gdyby posiadał urzędowy rodowód, napisano by w nim: „syn jamnika i kanapy”. Kreatura pokryta była ostrą sierścią dobrze urodzonej kozy, a oczy jej – mądre, sprytne, małe i wesołe – pożyczone były od świni. Posiadała tylko jedno ucho całe i obwisłe, drugie bowiem było marną pozostałością po jakiejś krwawej walce. Zwierzak ten na pierwsze spojrzenie, pomimo swej diabelskiej urody, wyglądał sympatycznie. Długi, niski, śmiesznie kosmaty, a tak zabłocony, jak gdyby brzuchem czyścił ulice, śmignął przez drzwi, obiegił pokój i zwinnym susem wskoczył na fotel. Wybrał, oczywiście, stary, stylowy fotel, przepięknym pokryty materiałem. Gwałtowne oburzenie tak mną zatrzęśło, jak czasem urwipoleć trzęsie jabłonią obsypaną jabłkami. Chwyćtem nożyk do rozcinania kartek i grożąc nim zuchwałemu psu, krzyknąłem z należytą pasją:

– Kundlu, precz z tego fotela!

Kundel ani drgnął, tyknął jedynie lewym świńskim okiem i wyraźnie był ubawiony. Równocześnie ozwał się cienki, gniewem powleczony głos:

– Czemu się pan znęca nad moim psem?

Mordercze narzędzie wypadło z mej ręki. Pomiędzy moim słusznym gniewem i tą lichą imitacją psa stanęła osoba rodzaju żeńskiego i rozkrzyżowała żeńskie ramiona. Miała piętnaście albo szesnaście lat, płowe włosy, roziskrzone oczy, po których latały złote błyski, i zadarty nosek, po którym nic nie latało. Ani brzydka, ani ładna, ale smukła, gibka, zgrabna i zapewne silna. Na gołych nogach, tak opalonych, jak gdyby były posmarowane czekoladą, widniały liczne ślady zadrapań i stłuczeń. Przebiegła mi przez zdumioną głowę myśl, że ta pannica chodzi po ziemi jedynie w niedzielę i wielkie święta, w dzień zaś powszednie łązi po drzewach albo przedziera się przez ciernie. Nie mogłem zajrzeć jej do ust, mógłbym jednak przysiąc, że jej brak kilku zębów, wybitych w nagłym zetknięciu się z jakimś płotem. Bynajmniej by mnie nie zdziwiło, gdyby osoba wjechała była do mojego domu konno, siedząc na oklep. Jaki pies, taka pani... Dobrana para... Pannica zuchwała, a pies opryszek. A nad tym psem – ja się znęcam! Powiedziałem twardo:

– Niech pani powie swojemu psu, aby natychmiast zlął z fotela!

Kornel Makuszyński *Szaleństwa Panny Ewy* fragment

Ja, Kornel Makuszyński, nieszczęsny autor „Panny z mokrą głową” i posepny autor „Awantury o Basię”, siedziałem spokojnie w zacisznej komnacie, rozmyślając nad jedną jeszcze powieścią dla „dorastających panienek”. Jest to sprawa wymagająca niezmiernego wysiłku ducha. Uczeni wiedzą, co się dzieje na Marsie, jakie minerały znajdują się na Księżycu, jaka jest temperatura Słońca i ile waży Ziemia. Wiedzą filozofowie, co się odbywa w ludzkiej duszy i dlaczego człowiekowi śni się właśnie kobieta z długą brodą, a nie piec grający na harfie. Największy jednak uczony, najstynniejszy nawet filozof nigdy nie wiedział, nie wie i nie będzie wiedzieć do skończenia świata, co się dzieje w kolorowej duszy „dorastającej panny”. Jest to niezgłębiona tajemnica.

Miałem przeto głowę w chmurach zadumy i od czasu do czasu wydawałem siedmiozgłoskowe westchnienia. Na biurku leżały białe, niezapisane karty papieru, a potężny kałamarz, nalany po brzegi, czekał cierpliwie i czarnym okiem spoglądał, czy pióro jak bocian zanurzy w nim dziób. Czekałem na tę wspaniałą chwilę, w której z udręczonej mojej głowy wyskoczy „dorastająca panienka” jak Pallas Atena z dostojnej, kędzierzawej i brodatej głowy Zeusa.

Zamiast „dorastającej panienki” wtoczyła się do mojej komnaty niewiasta służebna, nosząca przedziwnie wonne imię Narcyza. Powiedziałem „wtoczyła się” i nie cofnę tego słowa. Narcyza tym tylko różniła się od armaty, że sama zajeżdżała na pozycję, bez pomocy trzech par tęgich artyleryjskich rumaków. Poza tym miała wygląd burzącego działa, głos potężnej kolubryny i jej straszliwe zwyczaje. Na jej widok uleciały myśli krążące nad moją biedną głową jak złote pszczoły, a cisza skuliła się w kącie jak przerażony pies. Nigdy imię złożone z pięciu śnieżystych płatków i złotego oka nie zostało nadane z większą lekkomyślnością. Kobieta ta powinna nosić imię wulkanu, a nie kwiatka.

Spojrzała na mnie z wysoka i rzekła głosem tak czarnym, że smoła kapłała z niego ciężkimi kroplami na prawie perski dywan:

– Przyszła jakaś taka i takie coś...

Każdy inny, nieznający przedziwnych obyczajów tej armaty, niecierpliwymi pytaniami otworzyłby bramę piekła i wyzwoliłby najmniej siedmiu ogoniastych szatanów. Z tą lubą istotą należało postępować oględnie, ze wzniosłym spokojem, z beznamiętną cierpliwością i z wyrozumiałością mędrca, albowiem luba istota czekała pożądliwie okazji do piekielnej awantury. Należy wiedzieć o tym, że jej wroga i zuchwała postawa wobec świata i wszystkiego, co żywe, pochodziła z bolesnej udręki i ciężkiego zawodu. Od owego dnia gniewu i klęski, w którym wierna przyjaciółka „odbiła” jej narzeczonego, dusza rzewnej i tkliwej Narcyzy obrosta kolcami jako jeż. Szczególną nienawiść poczęła żywić do wszelkiego stworzenia rodzaju żeńskiego. Znając te piekielne tajemnice, wiedłem z nią dialog nie jak z ciężką armatą, lecz jak z niewinnym ptaszkiem. Usłyszawszy przeto przedziwną, czarną i niechętną wieść o tym, że „przyszła jakaś taka z takim czymś!” – pojąłem w lot, iż mowa jest o rodzaju żeńskim. Pan Bóg – na szczęście – nie odmówił mi bystrości.